

Znakomicie utkana opowieść o sile rodziny, w której jest tyle samo tajemnic, co magii. Ta książka jest po prostu wspaniała.

– V.E. Schwab

ZORAIDA CÓRDOVA



DZIEDZICTWO
ORQUÍDEI
DIVINY



ZORAIDA CÓRDOVA

DZIEDZICTWO
ORQUÍDEI
DIVINY

Z JĘZYKA ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁ

Robert J. Szmidt



TYTUŁ ORYGINAŁU:
The Inheritance of Orquídea Divina

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik
Wydawczyni: Agnieszka Fiedorowicz
Redakcja: Bożena Sęk
Korekta: Beata Wójcik
Projekt okładki: © Erick Dávila
Opracowanie graficzne okładki: Łukasz Werpachowski
Projekt wyklejki: Marta Lisowska
Oryginalny schemat drzewa genealogicznego: © Jason Snyder
DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2021 by Zoraida Córdova. All rights reserved.
Copyright © 2022 for the Polish edition by Wydawnictwo KobiECE sp. z o.o.
Copyright © for the Polish translation by Robert J. Szmidt, 2022

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2022
ISBN 978-83-67335-24-9

Grupa Wydawnictwo KobiECE | www.WydawnictwoKobiECE.pl





KOBIETA I DOM, KTÓREGO NIGDY NIE BYŁO

Przez wiele poranków była tam tylko goła ziemia. Któregoś dnia jednak niespodziewanie pojawił się dom, a w nim kobieta, jej mąż i kogut. Montoyowie przybyli do miasta Cztery Rzeki pośrodku nocy bez fanfar, bez powitalnych parad, marnych fasolowych zapiekaneek albo podeschniętych szarlotek, jakimi zazwyczaj wita się nowych sąsiadów. Prawdę powiedziawszy, okoliczni mieszkańcy już dawno przestali zwracać uwagę na to, kto pojawia się albo znika z tej okolicy.

Znalezienie Czterech Rzek na mapie było zadaniem z gatunku niemożliwych, ponieważ prowadziły do niego wyłącznie szutrowe drogi, a pamięć o nim przetrwała jedynie w umysłach, tych, którzy tego chcieli. Tak, dawno temu przebiegała tamtędy linia kolejowa, której stalowe żyły, przybite do równie twardego skalistego podłoża, biegły przez pokryte pyłem serce kraju, ale to dawno miniona historia.

Jeśli jakiemuś podróżnikowi zdarzyło się zjechać z autostrady nie tam, gdzie trzeba, Cztery Rzeki oferowały mu stację benzynową

i stary gościniec. Jeśli człowiek ten zapytał, jakież to rzeki dały nazwę miasteczku, miejscowi drapali się po głowach, po czym odpowiadali mniej więcej tak: „Kogo to obchodzi, od tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego drugiego i tak wszystkie zdążyły powysychać”.

Prócz stacji benzynowej Garreta i gościńca Sunshine – oferującego bezdenne kubki kawy za dolara i dwadzieścia pięć centów – Cztery Rzeki szczyliły się posiadaniem siedmiuset czterdziestu ośmiu mieszkańców, targowiska, sklepu papierniczego, ósmego co do wielkości krateru meteorytowego na świecie, cmentarzyska dinozaurów (uznanego za fałszerstwo przez rozwścieczonych paleontologów, którzy nie pozostawili w swoim dzienniku suchej nitki na maturzyście z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku będącym autorem tego dowcipu), jedynej wypożyczalni kaset wideo w promieniu wielu kilometrów, liceum (którego drużyna futbolowa wygrała regionalne mistrzostwa w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym) i najmniejszego urzędu pocztowego, bez którego miejscowość ta zostałaby z pewnością uznana za wymarłą.

Cztery Rzeki były jednak wyjątkowe z powodów, których mieszkańcy prawie już nie pamiętali. Miasteczko przesyciła – w pewnym sensie oczywiście – magia. Są na świecie miejsca, w których jej moc jest tak skoncentrowana, że stają się areną starć dobra i zła. Nazwijcie je ogniwami. Nazwijcie je czakramami. Nazwijcie je Edenem. Wpływ magii słabł jednak przez kolejne stulecia, po tym jak wyschły źródła czterech rzek. Dzisiaj pozostał po niej ledwie wyczuwalny puls tętniący głęboko pod górami i równinami.

To jednak wystarczyło.

Orquídea Montoya wybudowała swój dom w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym w głębi doliny, tam gdzie zbiegały się ongiś koryta czterech rzek.

„Wybudowała” wydaje się sporym niedopowiedzeniem, skoro rzeczony budynek pojawił się tam ot tak, jakby znikąd. Nikt nie patrzył, gdy wylewano fundamenty i przykręcano okiennice, żaden z mieszkańców nie pamiętał także, by jeździły tam traktory, buldożery albo kręcili się budowlańcy. Ale dom stał. Pięć pokoi, wielki salon z kominkiem, dwie i pół łazienki, kuchnia z bardzo popularnym sprzętem AGD i otaczająca wszystko weranda z fotelem na biegunach, z którego Orquídea mogła obserwować zachodzące wokół zmiany. Najzwyczajniej wyglądał tylko strych, na którym Montoyowie trzymali niepotrzebne już im rzeczy – no i oczywiście problemy Orquídei. Miejsce to stało się wkrótce źródłem opowieści z dreszczykiem krążących wśród ludzi, którzy podjeżdżali jedyną szutrową drogą na szczyt pobliskiego wzgórza i tam czekali cierpliwie, by popatrzeć choć przez chwilę na dziwną rodzinę z dziwnego domu.

Gdy mieszkańcy Czterech Rzek się zorientowali, że mają nowych sąsiadów, doszli także do wniosku, że lepiej poświęcać więcej uwagi tym, którzy tu przyjeżdżają albo stąd znikają.

Kim byli ci Montoyowie? Skąd tu przybyli? Dlaczego nie pojawiali się na mszy? I kto, na zieleń tej boskiej ziemi, pomalował ich okiennice na tak ponury kolor?

Ulubioną barwą Orquídei był granat nieba o brzasku, gdy blask wstającego słońca sprawia, że przestaje być czarne, ale zanim rozjaśni ją wszystkie te róże i purpury. Uważała, że kolor ten odzwierciedla idealnie moment, w którym świat wstrzymuje oddech, tak jak ona wstrzymywała go przez długi czas. Właśnie tym odcieniem granatu pociągnęła okiennice i drzwi frontowe. Kilka miesięcy po przybyciu, gdy wyprawiła się po raz pierwszy do miasta, aby nabyć samochód, przekonała się na własne oczy, że miejscowi wolą malować swoje domy na mdłe, jakby rozwodnione pastelowe kolory.

W domu Orquídei nic nie było przypadkowe. Marzyła o własnych czterech ścianach, od kiedy była małą dziewczynką, a gdy już się ich dorobiła, za najważniejsze uznała dobór odpowiednich barw i czarów ochronnych. Dla kogoś takiego jak Orquídea Divina Montoya, która doszła do tego wszystkiego niestrudżonym uporem i kapką szachrajstwa, najważniejsze było nie tyle chronienie dobytku, ile jego utrzymanie. Z tego właśnie powodu w każde okno i drzwi wtopiła złoty liść laurowy. Nie tylko po to, by zatrzymać magię w domu, ale przede wszystkim po to, by nie wpuścić do niego zagrożeń.

Orquídea nosiła ten dom od dawna – w sercu, w kieszeniach, w walizce, a gdy przestał się w nich mieścić, także w myślach. Nosiła go ze sobą wszędzie, poszukując miejsca pulsującego magią, w którym dałoby się go zakotwiczyć.

Orquídea i jej drugi mąż przemierzili mniej więcej siedem tysięcy osiemset osiemdziesiąt kilometrów. Część tej trasy pokonali powozem, jakiś kawałek przepełnęli statkiem, potem przesiedli się na kolej, a ostatnie trzydzieści kilometrów przeszli piechotą. Przed końcem tej włóczęgi straciła do reszty ochotę na podróż. Kiedyś dorobi się dzieci, potem wnuków i zobaczy resztę świata na barwnych pocztówkach pokrywających całe drzwi lodówki. Jej, jak większości ludzi, wystarczyła ta jedna jedyna pielgrzymka. Nie musiała mierzyć swojej wartości liczbą pieczętek w paszporcie i znajomością języków obcych. To były marzenia godne porzuconej dziewczynki, która widziała smolistą czerń gładkiego morza i stanęła kiedyś w samiusieńkim środku świata. Przeżyła na swój sposób ze sto różnych żywotów, ale tak naprawdę nie poznał jej nikt – ani pięciu mężów, ani liczne potomstwo. Na pewno nie w taki sposób, w jaki da się kogoś poznać: do szpiku kości, do sekretów, które ujawnić mogą jedynie zakrwawione wnętrzności.

Co było o niej wiadomo?

Metr pięćdziesiąt pięć wzrostu. Oliwkowa cera. Czarne włosy. Jeszcze czarniejsze oczy. Los oddzielił Orquídeę Montoyę od świata. Dwa najważniejsze momenty jej życia zostały z góry ustalone przez gwiazdy. Pierwszym był dzień urodzin. Drugim ten, kiedy skradła swoją fortunę.

Przyszła na świat w podrzędnej dzielnicy portowego miasta Guayaquil w Ekwadorze. Ludziom się wydaje, że wiedzą coś o pechu i braku szczęścia. Dla nich jednak pech oznacza co najwyżej potknięcie się o własne sznurowadło albo zgubienie pięciu dolarów w metrze czy też trafienie na byłego, gdy masz na sobie przepocone od trzech dni spodnie od dresu. Dla niej pech był czymś zupełnie innym. Został wpisany w liczne znamiona, które pokrywały jej ramiona i pierś niczym mroczne konstelacje. Był czymś na kształt zemsty dawno zapomnianego bożka. Jej matka Isabela Montoya obwiniała o to najpierw własne grzechy, a potem gwiazdy. To ostatnie twierdzenie okazało się prawdziwe z kilku powodów.



Orquídea urodziła się podczas tak niekorzystnego układu planet, jaki tylko można sobie wyobrazić. Otrzymała w spadku po nim kosmiczny dług, chociaż nie z własnej winy, ale los i tak miał upomnieć się o jego spłatę niczym bezlitosny lichwiarz. Czternastego maja, trzy minuty przed północą, Orquídea zdecydowała, że czas wypchnąć się z łona, po czym utknęła w połowie drogi, jakby zdała sobie sprawę, że świat nie będzie dla niej bezpiecznym miejscem. Wszyscy lekarze i pielęgniarki z nocnej zmiany pospieszyli na pomoc młodej samotnej matce. Dwie minuty po północy 15 maja dziecko zostało w końcu wydobyte, na wpół martwe, z pępowiną owiniętą wokół drobnej szyi. Najstarsza spośród pielęgniarek

pomyślała, że dziewczynkę czeka raczej marne życie. Była przecież na poły żywa, na poły martwa. Jakby niedokończona.

Gdy Orquídea opuściła Ekwador na dobre, nauczyła się zostawić za sobą kawałki siebie. Drobne ułamki, które jej spadkobiercy próbują któregoś dnia pozbiierać i złożyć ponownie w całość.

Potrzebowała dwudziestu lat i dwóch mężów, by dostać się do Stanów Zjednoczonych. Choć urodziła się w najgorszym z pechowych kosmicznych układów, zdołała znaleźć w nich furtkę, ale o tym dowiedzieć się dopiero za czas jakiś.

Oto opowieść o kobiecie i domu, którego nigdy nie było... aż do dnia, gdy pojawił się na tym świecie, czemu nikt nie może zaprzeczyć.



Pierwszego poranka w Czterech Rzekach Orquídea i jej mąż otworzyli na oścież wszystkie okna i drzwi. Dom został tak zaczarowany, by spełniał wszystkie ich potrzeby i dostarczał im tego, czego mogli potrzebować na sam początek, czyli worków nasion, ryżu, mąki i soli oraz beczkę oliwy z oliwek.

Chcieli obsiać wszystko od razu. Niestety, ziemię wokół ich domu były spękane, zeschnięte na kamień. Niektórzy z miejscowych twierdzili nawet, że szczeliny w gruncie są tak głębokie, iż wrzucony do nich pieniążek spadnie aż na dno piekieł. Bez względu na to, jak często padało w Czterech Rzekach, chmury wydawały się omijać dolinę, w której postanowili zamieszkać Montoyowie. To jednak nie miało znaczenia. Orquídea przywykła już do tego, że musiała robić coś z niczego. Taka była część umowy i jej mocy.

Najpierw pokryła podłogi morską solą. Sypała ją w szpary pomiędzy deskami, wypełniała naturalne zagłębienia w drewnie. Potem utarła tymianku, rozmarynu, głogu i suszonej skórki

z cytryny. Wymieszała to wszystko dokładnie i rozsypała przed frontowymi i tylnymi drzwiami. To była magia, której nauczyła się w czasie podróży, dobry sposób na oczyszczenie. Za pomocą oliwy przywróciła podłogom dawny połysk, potem wykorzystwała ją do zrobienia sobie i mężowi pierwszego śniadania, czyli usmażenia jajek sadzonych. Posypała je grubymi kryształkami soli, przysmażyła na chrupko krawędzie białek, a żółtka miały tak soczystą barwę, że wyglądały, jak nie przymierzając, bliźniacze słońca. Mogła się w końcu rozkoszować obietnicą tego, co ma nadejść. Kilkadziesiąt lat później, będąc u kresu życia, nadal pamiętała smak tego śniadania, jakby zjadła je dosłownie chwilę wcześniej.



Dom w Czterech Rzekach był świadkiem narodzin każdego z sześciorga dzieci i pięciorga wnuków Orquídei – a także śmierci czterech mężów i jednej córki. To było jej schronienie przed światem, którego częścią nie umiała się stać.

Raz – tylko raz – sąsiedzi przybyli ze śrutówkami i widłami, próbując przegnać tych, którzy zamieszkali w środku doliny. Ich zdaniem dom stworzony przez Orquídeę Divinę Montoyę mógł bowiem powstać wyłącznie dzięki zastosowaniu magii.

W pierwszym miesiącu jej bytności spieczoną ziemię pokryła licha trawa. Najpierw były to pojedyncze wątle kępki, potem całą ziemię wokół porósł gęsty zielony dywan. Orquídea przemierzyła każdy centymetr należącego do niej terenu, śpiewając i przemawiając, rozsypując nasiona, namawiając je i prowokując do wypuszczenia korzeni. Dzięki temu czarowi otaczające ją wzgórza zlągodniały, pokrywając się polnym kwieciami. Powróciły też deszcze. Padało całymi dniami, potem tygodniami, a gdy przestało, tuż za domem zalśniło niewielkie jezioro. W okolicy pojawiły

się też zwierzęta. Żaby skakały pomiędzy omszałymi kamieniami i unoszącymi się na powierzchni wody liśćmi lilii. Z opalizujących jajeczek wylęgły się tysiące ryb. Nawet jelenie schodziły z okolicznych wzgórz, by sprawdzić, cóż to za zamieszanie panuje w dolinie.

Jak nietrudno się domyślić, śrutówki i widły na niewiele się zdały. Ziemia zareagowała, zanim tłum dotarł do połowy zbocza. W powietrzu zaroilo się od komarów, kruki krążyły nad głowami idących, zdźbła trawy pokryły się małymi kolcami, które raniły ich do krwi. Zniechęceni ludzie szybko zawrócili i udali się ze skargą do miejscowego szeryfa. On z pewnością zdoła wygnać wiedźmę z ich sennego miasteczka.

Szeryf David Palladino był pierwszym mieszkańcem Czterech Rzek, który osobiście przedstawił się Orquídei. I choć połączyła ich później zażyła znajomość, dzięki której on pilnował, by żaden ze wścibskich sąsiadów nie zapuszczał się pod jej dom, a ona dostarczała mu codziennie toniku na porost włosów, to jednak podczas pierwszego spotkania Orquídea czuła przez moment obawę, że zostanie zmuszona do odejścia, mimo że zrobiła wszystko jak trzeba.

W tamtym czasie szeryf Palladino miał dopiero dwadzieścia trzy lata i piastował swój urząd od niespełna roku. Pod jego nosem wciąż rósł brzoskwiniowy meszek, który za nic nie chciał urosnąć, a głowę zdobiła szopa włosów, choć w części rekompensując stanowczo za szerokie nozdrza. Jasnoniebieskie oczy nadawały mu wygląd sowy, może nie tyle mądrej, ile wystraszonej, niespecjalnie pasujący do wykonywanego zawodu. Nigdy nikomu nie założył bransoletek, ponieważ w Czterech Rzekach nie dochodziło do przestępstw. Jedyne odnotowane w miejskich annałach morderstwo miało miejsce w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym, kiedy to na skraju pobliskiej szosy znaleziono wypatroszonego kierowcę ciężarówki. Sprawcy nigdy nie schwytano. Nawet

licząca pięćdziesiąt pięć lat waśń pomiędzy rodami Roscoe i Davidson zakończyła się pojednaniem, zanim David zdążył objąć urząd. Gdyby jego osiemdziesięciosiedmioletni poprzednik nie zmarł za biurkiem z powodu pęknięcia tętniaka, Palladino byłby do dzisiaj jego zastępcą.

Po okresie wzmożonych nacisków ze strony miejscowej ludności, by dowiedział się czegoś na temat nowo przybyłych (Kim są ci ludzie? Gdzie są ich akty nadania ziemi, dokumenty, paszporty?), Palladino pojechał samotną szutrową drogą prowadzącą do dziwnego domu w dolinie. Po dotarciu na miejsce nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Jako dziecko zjeździł tę okolicę na rowerze razem z kolegami, nieraz zdzierając sobie skórę na kamienistym gruncie. Teraz miał przed sobą pachnący świeżością czarnoziem i trawę. Gdy zamykał oczy, odnosił wrażenie, że znajduje się gdzieś daleko od Czterech Rzek, pośród bujnego gaju, ale zaraz wracał do rzeczywistości, czyli przed dom będący własnością Orquídei Diviny Montoyi. Podniósł kapelusz z szerokim rondem, by podrapać się po włosach barwy przejrzałego zboża zwijających się na skroniach w wężowate kosmyki. Pukając do drzwi, zauważył połyskujące w drewnie liście laurowe.

Orquídea uchyliła drzwi, przystanęła na progu. Była młodsza, niż się spodziewał, mogła mieć ze dwadzieścia lat, ale blask jej czarnych jak węgle oczu zdradzał od razu, że przeżyła w tym czasie znacznie więcej, niżby chciała.

– Dzień dobry szanownej pani – powiedział, po czym skłął się w myślach za to przejęzyczenie. – Znaczy panience. Jestem szeryf Palladino. W okolicy zauważono stadko kojotów, które zagryzły już nie tylko parę sztuk bydła, ale też biednego pudła pani Livingston, takiego rasowego, niepowodującego uczulenia. Z tego

też powodu postanowiłem zajrzeć do pani i sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Nie widzieliśmy żadnych kojotów – odparła Orquídea czystym angielskim bez naleciałości. – A już myślałam, że przychodzi pan w sprawie tej tłuszczy, która próbowała odwiedzić mnie tydzień temu.

Splonił się i spuścił głowę ze wstydu, że przyłapała go na kłamstwie. Aczkolwiek historyjka o kojotach nie do końca była zmysłowa. Wśród otrzymanych skarg trafiła się też taka, która mówiła, że w nowej rodzinie są meksykańskie wiedźmy, które jak powszechnie wiadomo, żyją z kojotami za pan brat. Kolejny telefon dotyczył tego, że wyschnięta dolina, w którą zapuszczali się dotąd jedynie włóczędzy i wagarująca młodzież, właśnie zaczęła się zmieniać, co nikomu się nie podoba. Cztery Rzeki miały zostać takie, jakie były, i już.

Palladino nie rozumiał, dlaczego ktoś miałby sprzeciwiać się przemianom w coś lepszego, ładniejszego i żywszego. Życie zagnieździło się tam, gdzie wcześniej nie było niczego. To cholerny cud, ale szeryf miał przecież zobowiązania wobec ludzi z miasteczka, których przysięgał strzec. I tu w grę wchodziła kolejna skarga. Nielegalni imigranci, wyszeptano do słuchawki jakaś kobieta, po czym się rozłączyła. Było nie było, rodzina z doliny zjawiła się w środku nocy. Ziemia nie mogła być przecież niczyja. Powinna do kogoś należeć, do osoby prywatnej albo rządu. Jakim cudem nikt się o nią wcześniej nie upomniał?

– Napije się pan kawy? – zapytała Orquídea z takim uśmiechem, że poczuł się lekko oszołomiony.

Zgodził się, ponieważ nauczono go, że nie należy lekceważyć miłych sąsiedzkich gestów. Palladino zdjął kapelusz, przyłożył go do piersi i wszedł do domu.

– Dziękuję, panienko.



*Sięgnij po
więcej!*



www.wydawnictwokobiece.pl



kobiece



wydawnictwo.kobiece